

MAGDA PARUS

USTRONIE

# USTRONIE

MAGDA PARUS

Copyright © by Magda Parus, 2013

Projekt okładki Magda Parus

ISBN 978-83-7859-199-3

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo  
[www.e-bookowo.pl](http://www.e-bookowo.pl)  
Kontakt: [wydawnictwo@e-bookowo.pl](mailto:wydawnictwo@e-bookowo.pl)

Wszelkie prawa zastrzeżone.  
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości  
bez zgody wydawcy zabronione  
Wydanie I 2013

## PROLOG

Odepchnęła go gniewnie, bo próbował cmoknąć ją w policzek, kiedy na chwilę się zatrzymali.

– No, no, nie bądź taka oziębła – powiedział Bogdan i zachichotał. – A ojciec mnie ostrzegał, dobrze pamiętam. Ostrzegał, żebym się nie żenił z ozięłą kobietą.

– Jesteś pijany. – Donata z zaciętą twarzą patrzyła na drogę przed nimi.

– Od razu pijany! Kilka kieliszeczków, a dla ciebie to pijany. Jasne. Ojciec mnie ostrzegał. Jedyne, co potrafisz, to psuć człowiekowi zabawę.

– Nikt ci nie bronił zostać.

– Ty nie rozumiesz, na czym polega małżeństwo – przybrał dydaktyczny ton. – Małżeństwo robi wszystko razem. Razem, rozumiesz? Razem przychodzi na imprezę i razem z niej wychodzi. No! Wychodzi o normalnej godzinie, a nie tak, w środku zabawy.

– Nie chciałam, żeby Eliza spała w zadymionym mieszkaniu.

– Nic by jej nie było. – Bogdan skinął ciężko głową dla podkreślenia wagi swych słów. – Noo... – powiedział znów przymilnie. – Nie bądź taka. Daj buzi.

Nachylił się ku niej, ale z wściekłością wbiła mu łokieć w bok.

Problem w tym, że teraz już jechali, a koordynacja ruchowa Donaty od zawsze pozostawiała sporo do życzenia. Kiedy jej prawy łokieć wbijał się w bok Bogdana, lewa, trzymająca kierownicę dłoń uznała, że polecenie dotyczy także i jej: gwałtownie przemieszczamy się w prawo.

## ROZDZIAŁ 1

Słyszały te motory z daleka, irytujący ryk silników. Spinka nie uważała się za mega przyrodniczkę, ale, kurde, jeśli człowiek wybiera się na spacer do lasu, ma prawo oczekiwać odrobiny spokoju, nie? Zerknęła spod oka na Elizę, sprawdzając, czy i ją ruszył ten hałas. Reakcje Elki bywały zaskakujące. Poczawszy od tego, że nie dało się przewidzieć, czy w ogóle dane zjawisko lub zajście zauważy, bo mogła akurat bujać w obłokach, ślepa i głucha na otoczenie.

Jednak Eliza nieznacznie marszczyła brwi, najwyraźniej więc zarejestrowała hałas i, co więcej, także jej się nie spodobał. Spinka poczuła się tym faktem nonsensownie podbudowana.

Dopiero kiedy wreszcie ich zobaczyły – pięciu gości w kolorowych wdziankach i kaskach z opuszczonymi przyciemnionymi szybkami – Spinka pomyślała, że powinny były pójść okrężną drogą. Las świecił pustkami, a one, dwie drobne dziewczyny, miały minąć pięciu facetów na kupie żelastwa.

Przywołała się do porządku: za łatwo produkowała czarne wizje. Kolesie co najwyżej bardziej przed nimi zaszpanują, nic wielkiego. Zresztą, było za późno na robienie w tył zwrot. Pozostawało im nonszalancko iść przed siebie, byle nie okazać strachu.

Tamci pewnie wyobrażali sobie, że dwie laski będą posikane na widok ich maszyn i wdzianek. No, w sumie,

źle się nie prezentowali, Spinkę denerwowało jednak, że nie widzi ich twarzy. Jak miała ocenić intencje, jeśli facetowi nie dało się zajrzeć w oczy?

Przygazowali, kiedy ich mijały. Przeszły, udając obojętność. Znaczą, Spinka udawała, pilnie, ale raczej z marnym skutkiem, natomiast Eliza najpewniej faktycznie odplynęła już gdzieś myślami.

Zarazem niewątpliwie to właśnie przed Elką koleisie starali się błysnąć. Wpadła im w oko, a jakże, słodziutka blondyneczka. Czemu facetom tak odwała na punkcie jasnych włosów?

Mimo prób skupienia uwagi na Elizie, Spinka cały czas pozostawała świadoma spojrzeń tamtych. Spojrzeń, które mogła sobie tylko wyobrażać.

Jeden z motorów znów ryknął głośniejsz, wyprzedził je nagle, a potem zahamował, zarzucając zadem, i zagroził im drogę. Motor, nie gość na nim – Spinka uzmysłowiła sobie, że postrzega ten zestaw jako całość, dziwne stworzenie, bliższe ożywionej maszynie niż człowiekowi. Nieobliczalne, pozbawione rozsądku, nie wspominając o zasadach moralnych.

Zatrzymały się, Spinka, świadoma narastającego w niej strachu, i Eliza, która popatrzyła na motor zdumiona, ale w taki sposób, w jaki spójrzałyby na głaz czy kłodę, wyrosłe raptem na jej drodze. Elce głazy, kłody, roboty drogowe, uliczne latarnie czy zaparkowane samochody nieustannie „wyrastały raptem” tuż przed nosem.

Spinka ujęła koleżankę pod ramię i pociągnęła w lewo, żeby obejść maszynę od tyłu, ale wtedy z boku pojawił się drugi crossowiec, wymownie porykując silnikiem.

Później ruszyli, jak na komendę – może jakąś między sobą wymienili, Spince wydało się jednak, że współpracują sterowani zbiorową świadomością, niczym rój pszczół – i zaczęli krążyć wokół dziewczyn.

Leśna droga nie była szeroka, dwa samochody miałyby problem, żeby się na niej minąć, tak więc Spinka odnosiła wrażenie, że dranie niemal się o nie ocierają. Spanikowałyaby, zaczęła wrzeszczeć albo zrobiła coś równie głupiego, gdyby nie Eliza, która przyglądała się temu popisowi z nieznacznie zmarszczonymi brwiami. Miała taką minę, jakby stała przed przejazdem kolejowym, czekając, aż przejedzie koszmarnie długi skład towarowy. Wagon ciągnie się za wagonem, hałas przeraźliwy, ale przecież nie jest to nic, czym należałoby się przejmować. Za moment podniosą szlaban i będzie można ruszyć dalej.

Pewnie dlatego tamtym szybko się znużyło.

Zatrzymali się, znów jak na komendę. Silniki maszyn umilkły niemal jednocześnie i typek na wprost Spinki i Elizy podniósł szybkę kasku.

– Przewieźć was, dziewczyny?

Spinka widziała tylko część jego twarzy i zastanawiała się, czy w razie czego zdołałaby go później opisać. Prawdę mówiąc, samej siebie nie umiałaby chyba opisać w taki sposób, żeby dało się na tej podstawie sporządzić portret pamięciowy.

– Nie, dzięki, spieszymy się na obiad – powiedziała, świadoma tego, że na wsparcie Elki nie ma co liczyć. – Możemy przejść?

– Chyba was nie przestraszyliśmy? – zapytał, a Spince wydało się, że na jego na pół zasłoniętej twarzy dostrzega kpiący uśmiech.

– Tym hałasem? Nie, co najwyżej zniesmaczyliście.

Motory stały ciasno, niemalże stykając się kołami. Z tyłu zapewne było więcej miejsca, ale nie chciała się odwracać, żeby nie dawać draniom choćby tej drobnej satysfakcji.

– Z drogi – powiedziała ostrzej.

– Bo co?

– Bo was przeklnę i jeden z was wkrótce umrze – rzuciła. Nie miała pojęcia, skąd jej to przyszło do głowy, ale nagle bardzo wczuła się w rolę. – No? Mam dużą siłę sprawczą podświadomości. Wiesz, co to znaczy?

Roześmiał się. Spinka wyczuła, że z kolei Eliza spina się u jej boku; odkrycie bynajmniej nie poprawiło jej nastroju.

– Biedne, scykane laski – zakpił ich rozmówca.

– Przeklinam cię – powiedziała Spinka, wyciągając przed siebie rękę. Dopiero po sekundzie, zbyt późno, uzmysłowiła sobie, że pokazuje mu znak wiktorii.

Teraz nawet ci po bokach pochylili się na swoich maszynach, jakby zwijali się ze śmiechu. Super, większej kretynki nie mogła z siebie zrobić.

– Ona żartuje – odezwała się Eliza, poważnie i jakby przepraszająco. – Żartuje i nie miała nic złego na myśli. Ale przypadkiem udało jej się trafić.

– Rany, chłopaki, słyszycie? Dwie lalunie nam grożą – naigrawał się typ z uniesioną szybką.

Tyle że w rzeczowej wypowiedzi Elizy pobrzmiwało coś takiego, że Spince ciarki przeszły po plecach – i zorientowała się, że tamtym też wcale nie jest aż tak do śmiechu.

Eliza stała spokojnie, patrząc na ich rozmowę. Wprost na niego, z pewnym znudzeniem, ale zarazem intensywnością, która na dłuższą metę była trudna do zniesienia. Spinka знаła ten wzrok, sama zwykle prędko ulegała jego presji. Tym razem także okazał się skuteczny, bo gostek pchnął motor, robiąc dla nich przejście. Wąziutkie, na jedną osobę, tak że Spinka zastanawiała się, czy nie kryje się za tym jakiś podstęp.

Pociągnęła Elkę za sobą, a potem wypchnęła naprzód, żeby przeszła pierwsza.

– Naprawdę bardzo mi przykro – powiedziała Eliza,



mijając typka.

O dziwo, nic się nie stało. Nie zatrzymywali ich, nie wołali za nimi, kiedy oddalały się szybkim, choć nadal spacerowym krokiem. Spince wydawało się, że słyszy ich śmiech, nieco opóźniony, jakby najpierw musieli przekonać sami siebie, że zdarzyło się coś zabawnego.

Potem za ich plecami rozległ się ryk załączanych ponownie silników.

Natychmiast dopadły Spinkę kolejne czarne wizje: obrazy szamotaniny, tratujących je rozpedzonych motorów, krwi i poszarpanych ubrań. Nasłuchiwała nerwowo, czy tamci nie ruszają za nimi. Tymczasem Eliza szła spokojnie, nieobecna myślami.

– Dlaczego powiedziałaś, że trafiłam? – zapytała Spinka. – Elizo?

– Co? – Eliza spojrzała na nią nieprzytomnie.

– Dlaczego powiedziałaś im, że trafiłam, przepowiadając jednemu z nich śmierć? – powtórzyła cierpliwie Spinka.

– Ach. Bo jeden dzisiaj umrze.

Spinka zbyt dobrze знаła Elkę, żeby podejrzewać ją o żart.

– Który? – zapytała po chwili.

– Nie wiem, był w kasku.

– Czyli jakby widziałaś to zdarzenie? Elizo? A zielony czy pomarańczowy?

Tyle zanotowała. Dwóch gości, w tym ich rozmówca, miało zielone motory i czarne stroje z zielonymi wstawkami, pozostali łączyli czerń z pomarańczą. Dla Spinki maszyny wyglądały identycznie, podobnie jak skórzane wdzianka i kaski, ale niewykluczone, że znawca tematu natychmiast by jej uświadomił kolosalne, widoczne na pierwszy rzut oka różnice między nimi.

– Elizo? Zielony czy pomarańczowy?

– W tej chwili nie pamiętam.

– Ale on nie zginie dlatego, że ja tak powiedziałam? Elizo? To faktycznie zbieg okoliczności?

– Hm?

– Mówiłaś, że trafiłam przypadkiem. Po prostu trafiłam? Na pewno?

– Kiedy ktoś jest bliski śmierci, widać, że jego energia życiowa przygasa – wyjaśniła Elka, jak na nią w sposób szalenie rzeczowy i rozbudowany. – Pewnie to cię zasugerowało.

– Jasne – mruknęła Spinka.

Naprawdę, gdyby nie znała Elki od tylu lat, pomyślałaby, że laska sobie z niej kpi. Tylko że w przypadku Elizy o wiele bardziej prawdopodobne wydawało się, że ona faktycznie widzi energię życiową innych osób, w postaci aureoli, promieniowania, czy diabli wiedzą czego, i uważa tę umiejętność za całkiem powszechną.

Spinka przygryzła wargę.

– Powinnyśmy zawrócić i ich ostrzec – powiedziała po chwili.

Nie miała najmniejszej ochoty zawracać. Marzyła, żeby znaleźć się wreszcie w ośrodku, wśród ludzi, gdzie ci zamaskowani szpanerzy nie odważą się ich rozjechać. Chyba się nie odważą.

– Elizo? Powinnyśmy ich ostrzec? Jesteś pewna, że coś im grozi?

– Grozi? – Elka spojrzała na nią zdziwiona. – Nic im nie grozi. Czas jednego z nich się skończył i nic na to nie poradzisz. Szkoda tylko, że mu powiedziałaś. – Zmarszczyła brwi, jakby usiłowała pochwycić wymykającą się jej myśl. – Z takich informacji nie wynika nic dobrego.

Spinka liczyła, że nawet jeśli Elka ma rację z tą przygasającą energią, ona nigdy się nie dowie, czy któryś z tych gości faktycznie zginął – najpewniej roztrzaskując się na swojej maszynie. Jeszcze tydzień i do domu...

Cholerny obóz zapoznawczy. Poroniony pomysł, jeśli wziąć pod uwagę towarzyskie talenty Elizy, ale jej stary się uparł i koniec. No, a Spinka też nie widziała powodu, żeby odmawiać, skoro Kordelski fundował wszystko. Naharowała się w te wakacje, należało jej się nieco wypoczynku – tak w każdym razie myślała, przyjmując propozycję. Nie spodziewała się, że wywożą je na zadupie, gdzie jedyną oferowaną przez organizatorów atrakcją są mecze siatkówki, z których i tak niewiele wychodzi, bo większość towarzystwa jest ciągle zalana albo skacowana. Ewentualnie, dla odmiany, upalona.

Z daleka dobiegły je śmiechy i wesołe okrzyki, a chwilę później minęły sześciuosobową mieszaną grupkę. Spinka powiedziała „Cześć”, ale wzbudziła tylko chichoty. No właśnie, kolejna kwestia, której, idiotka, nie wzięła pod uwagę: jeśli człowiek jedzie gdzieś z Elizą i się z nią trzyma, w try miga biorą go za takiego samego wariata jak ona. Kurde, a teraz jeszcze ta kłątwa. Co jej odbiło? Na sto procent nic równie durnego nie wpadłoby jej do głowy, gdyby ostatnimi czasy nie przebywała tyle z Elką.

Chwilę później wyrósł przed nimi betonowy budynek ośrodka, paskudztwo z rodzaju tych, które określa się jako „z minionej epoki”. Spinka nie sądziła, żeby właściciel był w stanie ściągnąć tu kogokolwiek innego niż oszczędzający każdy grosz studenci, zielone szkoły czy biedniejsze kolonie. Paskudne, odrapane ściany, łazienki, które czystością świeciły może dwadzieścia lat temu, zagrzybione pokoje z rozpadającymi się meblami. Megaluksus. Wkoło las i nic poza tym, do najbliższego jeziora drałowało się czterdzieści minut, a podjechać nie bardzo było czym.

Mówiąc krótko, nudziły się jak mopsy, w dodatku w fatalnych warunkach. No, dobra, Spinka się nudziła. Eliza nie wyglądała na taką, której otoczenie sprawia różnicę.

Odrapany ośrodek w Borach Tucholskich czy luksusowy hotel na Szeszelach, i tak spędzałyby czas głównie w świetle swoich wyobrażeń, a po dwóch tygodniach niewiele potrafiłaby sobie przypomnieć z pobytu. Mimo to Spinka nie pojmowała, czemu Kordelski uparł się, żeby wysłać tu córkę. Obóz zapoznawczy! Elka co najwyżej zyska tu sobie zawczasu opinię wariatki.

\*\*\*

Patrick Allenor podpisał ostatni dokument ze stosu, jaki Olga położyła mu na biurku. Spojrzał na zegarek: za pięć dwunasta, idealnie. Jeśli tylko byli obaj w Nowym Jorku, przeważnie o dwunastej Patrick jadł lunch ze stryjem Charlesem u niego w gabinecie.

Przeciągnął się, splatając ręce za głowę, a potem wstał zza biurka i spieszenie ruszył do windy. Stryj nie lubił spóźnień, ale jeszcze bardziej drażniło go, kiedy Patrick przychodził za wcześnie i czekał pod drzwiami, gawędząc z sekretarką. Jedno i drugie świadczyło o złym zarządzaniu czasem, jednakże Charles prędzej gotów był zaakceptować fakt, że ktoś zatracił się w pracy, niż że nie miał co robić i pojawił się przed ustaloną godziną.

Naciskając guzik przywołujący windę, Patrick uśmiechnął się pod nosem. Charles w każdej kwestii wyrobił sobie sprecyzowany i zwykle surowy pogląd, przy czym nawet jeśli wygłaszał go tonem „to moja opinia, ale naturalnie masz prawo do własnej”, nie ulegało wątpliwości, że oczekuje po rozmówcy odpowiedzi: „Ależ nie, w pełni się z tobą zgadzam”. Oraz stosownego do tej deklaracji zachowania.

– Punktualnie jak zawsze – powiedziała Agnes, sekretarka Charlesa, kobieta około czterdziestki. W ciemnoszarym kostiumie, z ciasno upiętym kokiem

przypominała Patrickowi surową nauczycielkę ze szkoły dla dziewcząt, choć po prawdzie nigdy żadnej nie spotkał. Chyba go lubiła, dając mu to odczuć na swój protekcyjny sposób, zapewne dlatego, że z niesforną rudą czupryną i twarzą usianą piegami wyglądał ciągle jak chłopczek. – Oczekuje cię.

Wszedł.

Charles odwrócił się od okna, uśmiechając się na powitanie. Patrickowi ten uśmiech wydał się odrobinę krzywy, jakby stryj nie lubił go aż tak bardzo, jak to deklarował. Często odnosił takie wrażenie.

– Jak się miewa Rita? – zapytał Charles.

Wskazał Patrickowi miejsce po drugiej stronie stolika, ustawionego przy wielkiej szklanej ścianie – trudno byłoby nazwać ją oknem – gabinetu na pięćdziesiątym czwartym piętrze należącego do koncernu drapacza chmur. Roztaczał się stąd oszałamiający widok na rzekę.

Charles nie miał zwyczaju jadać poza biurem. Zwierzył się kiedyś Patrickowi, że lubi spoglądać na ruch uliczny daleko w dole, na spieszących chodnikami ludzi, gryzących się codziennymi błahymi problemami. Nie dodał, że czuje się lepszy od tych mas – to akurat było oczywiste.

– Odkąd zapisała się do klubu dyskusyjnego, coraz pilniej wypróbujecie na mnie swoje oratorskie umiejętności. – Patrick z uśmiechem strzepnął serwetkę i spojrzał przez okno. – Trudno ją przegadać.

Także uwielbiał tutejszy widok. Prędko odpędził myśl, że pewnego dnia sam zasiądzie w tym gabinecie. Najpierw musiał się sprawdzić, a na razie mozolnie wspinał się po szczeblach kariery.

No, dobrze, nie tak mozolnie – awansował nad podziw szybko, na tyle, że nie zjednywało mu to przyjaciół w firmie. Dawano mu odczuć, że takie tempo kariery zawdzięcza stryjowi, a nie umiejętnościom. Ale Patrick

jeszcze im wszystkim udowodni, jak bardzo się mylą. Nie mógł wszakże popełnić błędu, który zdyskredytowałby go w oczach stryja. Charles cieszył się wyśmienitym zdrowiem, przy swoich pięćdziesięciu ośmiu latach nie był też jeszcze stary. Wiele wody upłynie, zanim jego miejsce się zwolni, a przez cały ten czas Patrick będzie na kontrolowanym.

Przyjrzał się stryjowi z ukosa. Prezes Rolphalle, Inc. nie wyglądał na swój wiek, na oko można by mu dać zaledwie czterdzieści pięć lat. Dzisiaj jednak wydał się Patrickowi bardziej niż zwykle zamyślony, odległy, jakby raptem przytłoczył go ciężar doświadczenia i obowiązków. Dwadzieścia pięć lat na czele koncernu – taki bagaż może człowieka przygnieść.

– Myśleliście o dziecku? – rzucił Charles.

Zaskoczył Patricka. Zwykle pytał o Ritę z czystej kurtuazji, dając do zrozumienia, że nie oczekuje rozbudowanej odpowiedzi. Czasem, z minimalnie większym zainteresowaniem, zagadywał też o to, co słyhać u ojca i braci Patricka, generalnie jednak tematy rodzinne zdawał się poruszać z obowiązku – dla stworzenia odpowiedniego wizerunku swojej osoby – nie zaś z autentycznej ciekawości.

A teraz zadał Patrickowi bardzo osobiste pytanie, tonem przywodzącym na myśl raczej przesłuchanie niż towarzyską konwersację. Patrick podrapał się szybko za prawym uchem, po czym jeszcze szybciej opuścił rękę, czując na sobie krytyczne spojrzenie Charlesa. Stryj już kilkakrotnie zwracał mu uwagę, że tym tikiem Patrick niepotrzebnie zdradza rozmówcy swoje zdenerwowanie.

– Rozmawialiśmy o tym, owszem – przyznał ostrożnie Patrick. Jaka odpowiedź najlepiej przysłuży się jego karierze? – Rita bardzo by chciała, a obecnie możemy sobie już na to pozwolić.

„To”. W gruncie rzeczy Patrick nie czuł się jeszcze

gotowy na dziecko, na przyjęcie odpowiedzialności za małego człowieka, ale Rita coraz bardziej go naciskała, on zaś zdawał sobie sprawę, że nie ma dla żony tyle czasu, by wynagrodzić jej pusty dom. Byli młodzi, mogliby poczekać z dzieckiem jeszcze dziesięć lat, niemniej formalne przeszkody zniknęły – Patrick zarabiał dostatecznie dobrze, żeby utrzymać rodzinę, nie miał też powodów sądzić, że jego pozycja w koncernie jest zagrożona. Przeciwnie, wkrótce spodziewał się kolejnego awansu. Wysuwanie argumentu potencjalnej utraty stabilności finansowej świadczyłoby o tym, że nie wierzy w siebie. Może nie powinien był żenić się tak młodo... ale tego i tak nie odkręci, a zresztą lubił pokazywać się z reprezentacyjną żoną na rozmaitych biznesowych przyjęciach. Ogólnie biorąc, nie narzekał na Ritę.

– Dziecko nie odciągnie cię od firmy? – zapytał Charles. – Connor zwykł powtarzać, że w rodzie Allenorów jest tytu potomków, by dało się przebierać w nich do woli w poszukiwaniu godnego następcy. Kiedy posiada się własne dzieci, raptem pojawia się przymus, żeby pozostawić wszystko im. Swojej krwi, swoim genom. Nawet jeśli nosiciele tych genów nie zasługują na taki przywilej. Nawet gdy przewidujesz, że doprowadzą dzieło twego życia do ruiny.

– Sugerujesz, że nie powinniśmy mieć dzieci?

Stryj roześmiał się i machnął ręką, przeżuając kęs mięsa; Patrick czekał cierpliwie, aż skończy.

Connor Stevens nie miał dzieci i wybrał na swoje miejsce Charlesa. Charles także nie doczekał się potomków, ba, nie ożenił się powtórnie po rozwodzie z pierwszą żoną. Zdaje się, że także poprzednik Connora, Arthur, zmarł bezpotomnie... Czy to była jakaś chora tradycja Rolphalle?

– Gdzieżby – powiedział wreszcie Charles. – To twoja sprawa. Staralem się jedynie wyjaśnić, dlaczego sam ich

nie mam. W pewnym momencie życia doszedłem do wniosku, że nawet żona mi przeszkadza. Nie lubię się tłumaczyć, gdzie byłem i dlaczego, dokąd wyjeżdżam, po co i na jak długo. Wiesz przecież, jakie są kobiety. Słowem się nie odezwie, nie pośle ci ani jednego krzywego spojrzenia, a jednak da ci odczuć swoje pretensje.

Tak, na pewno sprawdzało się to w przypadku Rity. Ale mimo wszystko Patrick lubił mieć z kim pogadać po powrocie do domu.

Po głębszym namyśle stwierdził, że nie wyobraża sobie życia całkowicie ograniczonego do koncernu. Charles także apartament miał w budynku firmy, na pięćdziesiątym piątym piętrze. Salon znajdował się dokładnie nad tym gabinetem, z jego okien roztaczał się identyczny widok. Co z tego, że piękny, skoro człowiek nie zauważał różnicy między domem a pracą?

Może i Patrick nie czuł się na razie gotów na dziecko, niemniej oczyma wyobraźni widział swojego przyszłego syna, zdolnego, wysportowanego, wesołego, a także śliczną córkę, za którą będą się uganiać chłopcy. Współczuł stryjowi jego samotności, aczkolwiek zdawał sobie sprawę, że ten wyśmiałby go za takie emocje. Nie potrafił go rozgryźć: Charles rzeczywiście chciał tylko wyjaśnić mu własną postawę życiową czy w zawaalowany sposób dawał do zrozumienia, że jeśli bratanek zajmie się produkowaniem potomków, może zapomnieć o przejęciu w przyszłości sterów firmy?

Gdyby Patrick stanął przed takim wyborem, jaką podjąłby decyzję?

– Może masz rację, że popełniłem błąd. – Charles przyglądał się mu uważnie. – Zastanawiam się, czy się nie przestraszyłem. Tego, że mój syn okaże się nieudacznikiem, a mnie zabraknie siły woli, żeby pominąć go w testamencie.



– Kto wie, czy w ogóle chciałby się zająć prowadzeniem interesów. Może zostałby fizykiem, jak Eddie. – Średni brat Patricka ukończył fizykę na Stanfordzie, a następnie poświęcił się pracy naukowej. – Nie jest wybitny, Nobel raczej mu nie grozi, ale przynajmniej robi to, co go interesuje, za satysfakcjonujące go pieniądze. Nikomu nie sprawia kłopotu, niczego się od ojca nie domaga.

– Tak, to korzystna sytuacja – przyznał Charles, unosząc kącik ust w półuśmiechu. – Wydaje mi się jednak, że znacznie częstszą postawą jest ta, którą reprezentuje Peter. Przerost ambicji przy braku umiejętności, czego on sam, oczywiście, nie dostrzega.

Patrick niechętnie pokiwał głową. Wiedział przecież z góry, że wkracza na śliski grunt, przywołując przykład swojego rodzeństwa. Peter, najstarszy brat, zazdrościł mu wszystkiego – dobrych rezultatów w szkole, ukończonych ze świetnym wynikiem studiów, pracy w Rolphalle, Inc., bliskich relacji z Charlesem, prognoz na temat przyszłości Patricka jako szefa koncernu, mimo że do czasu ustąpienia Charlesa ze stanowiska wiele mogło się zmienić. Uważał przy tym, że Patrick zawdzięcza wszystko nie zdolnościom, nie ciężkiej pracy, a jedynie głupiemu szczęściu, na które nijak sobie nie zasłużył, podczas gdy bijącemu go na głowę pod każdym względem Peterowi los złośliwie szczęścia poskąpił.

– No, ale nie mam syna, zatem tego rodzaju dylematy mnie ominęły – powiedział Charles, odchylając się w fotelu. – Starłem się nikogo w rodzinie nie faworyzować. Również ze zdolnego dzieciaka niekiedy wyrasta nieudacznik, uznałem więc, że wstrzymam się z decyzjami do czasu, gdy pokończycie studia.

– Prawie się u nas nie pokazywałeś – stwierdził Patrick. Miał dwa lata, kiedy Charles objął stanowisko prezesa koncernu; od tej daty zaczęło postępować

ochłodzenie stosunków stryja z krewnymi. – Ale kiedy już się pojawiałeś, przynosiłeś świetne prezenty.

– Wybierała je sekretarka.

– Domyślam się.

\*\*\*

Poród rozpoczął się pewnego listopadowego wieczoru wraz z pierwszym pomrukiem burzy. Richard Rolphin przechadzał się w tę i z powrotem pod drzwiami sypialni żony, nerwowo popukując palcami w poręcz zabezpieczającej galerię na piętrze balustrady. Zdawać by się mogło, że rozmyśla nad rozwiązaniem irytującego, acz w gruncie rzeczy błahego problemu. Prezentowane przezeń drobne oznaki niepokoju w najmniejszym stopniu nie sugerowały szalejącej w nim nawałnicy emocji, spośród których na pierwszy plan wysuwał się strach przed utratą ukochanej Anny.

Z wdzięcznością nasłuchiwał odgłosów burzy, odciągała ona bowiem jego myśli od wydarzeń, jakie rozgrywały się za drzwiami sypialni. Kląby, gdyby w taką pogodę musiał posyłać po lekarza, ponieważ jednak w ostatnich tygodniach zdrowie Anny pozostawiało wiele do życzenia, doktor Joseph Moon, bliski przyjaciel Richarda, zgodził się do rozwiązania zamieszkać w Shelterton. Pierwszego syna pani Rolphin powiła z trudem, dwóch następnych ciąży nie donosiła i zasadniczo nie powinna była podejmować kolejnej próby. Jednak Anna, zwykle łagodna i ustępliwa, w tym względzie wykazała się zaiste niezłomną wolą.

Burza rozszalała się na dobre, jej wściekłe ryki docierały nawet tutaj, do pozbawionej okien, zamkniętej w sercu domu galerii. Z dołu dobiegł brzęk tłuczonej szyby, kiedy jedna z okiennic najwyraźniej nie wytrzymała naporu wiatru. Richard skierował myśli ku stratom, jakie wichura

spowoduje w gospodarce. Wyszarpywała naoliwiony papier z okien osiedla niewolników, zrywała dachy, łamała drzewa, wpędzała w panikę zwierzęta. Zniszczone zabudowania łatwo się odtworzy, powalone pnie usunie, lecz jeśli Anna umrze...

Nie słyszał jej jęków ani krzyków, zwykła bowiem cierpieć w milczeniu. Oczekiwał natomiast wrzasku noworodka, sygnału końca jej udręki. To trwało już zbyt długo. Kiedy rodził się George... Richard przystanął i wyjął z kieszonki zegarek z dewizką. Nie minęła nawet godzina. Sapnął i podjął spacer, szybszy niż dotąd. Płomienie świec w kinkietach tańczyły od gwałtownego ruchu powietrza.

Płacz dziecka wdarł się w noc i natychmiast zamarł. Richard rzucił się do drzwi sypialni pełen najgorszych obaw. W tejże chwili otworzyły się i z pokoju wyszła Emma, stara, doświadczona Murzynka, która odbierała poród George'a i pomogła wydostać się na świat niezliczonym dzieciom niewolników.

– Chłopiec, psze'pana – powiedziała, mijając go z owiniętym w płótno noworodkiem na rękę.

Richard nie poświęcił dziecku ani sekundy uwagi.

– Co z nią? – Doskoczył do Josepha, który postępował w ślad za Murzynką.

– Żyje, jednakże...

– Co?!

– Richardzie, uspokój się. – Przyjaciel położył mu dłoń na ramieniu. Do Richarda w młodości nie bez powodu przylgnęła opinia człowieka porywczego. Pod wpływem Anny się utemperował, lecz kiedy jej życie wisiało na włosku, mógł postąpić nieobliczalnie. Dlatego Joseph Moon ostrożnie dobierał słowa. – Anna potrzebuje teraz przede wszystkim ciszy i spokoju. Zostanę przy niej. Więcej będę mógł ci powiedzieć dopiero rano. Idź do syna. Ochłoń. Chłopak jest zdrow i silny.

## Spis treści

PROLOG	4
ROZDZIAŁ 1	5
ROZDZIAŁ 2	71
ROZDZIAŁ 3	121
ROZDZIAŁ 4	175
ROZDZIAŁ 5	223
ROZDZIAŁ 6	273
ROZDZIAŁ 7	344
ROZDZIAŁ 8	409
EPILOG	475